

"Siłaczki" okiem urodzonej feministki

W Krakowie trwa do połowy marca pierwsza przełomowa wystawa o historii kobiet Krakowa. Pierwsza, bo choć wybór nie jest przypadkowy, to z całą pewnością nie jest kompletny, trzeba go będzie sukcesywnie uzupełniać, co zapowiada kolejne i kolejne wystawy, przełomowa, bo tak wielkiej wystawy o mieszkankach Krakowa wyróżniających się tym, kim były, czego dokonały i co Kraków im zawdzięcza, jeszcze nie było.

<https://www.youtube.com/watch?v=acVKiCQEt6Y>

A ponieważ są to opowieści o kobietach, współczesność ma na to nowe miano, to mniej znana herstoria w odróżnieniu od bardziej znanej historii, w której głównymi bohaterami są mężczyźni. Herstoria "siłaczek Krakowa" to cały korowód bohaterek, krakowianek z urodzenia, z wyboru, ze zrządzenia losu, dziewcząt i kobiet, które żyły i odcisnęły swoje piętno na dziejach miasta...

Opozycja "historia - herstoria" wynika z różnych prędkości dochodzenia do zrównania praw i obowiązków człowieka w zależności od płci. Proces ten, choć już swoje trwa i w naszej atlantycko-europejskiej kulturze odczuwalny jest w stopniu zaawansowanym (aczkolwiek niejedno jest jeszcze do wyrównania), w "storii" całej ludzkiej cywilizacji liczącej około 10 tysięcy lat to zaledwie chwilka.

Wtedy to, ok. 10 tys. lat temu, nastąpił zasadniczy przełom w zdobywaniu pożywienia przez pierwotnych ludzi, z wędrujących za zwierzyną i jadalnymi roślinami nomadów - myśliwych i zbieraczy - stali się osiadłymi uprawczami ziemi, rolnikami. To około 8 tysięcy lat przed naszą erą "jakiś prehistoryczny Einstein (prawdopodobnie kobieta jak domyślają się autorzy książki "Rewolucyjne bogactwo" Alvin i Heidi Tofflerowie) posiał pierwsze ziarno" - i poczekał (choć raczej poczekała), aż urosnie, co oznacza, że ludzkość weszła w pierwszą fazę cywilizacji, fazę agrarną.

Faza ta trwała wiele tysiącleci aż po wiek XVII/XVIII naszej ery, gdy ludzie (prawie bez wyjątku mężczyźni) zaczęli wynajdować sposoby na usprawnianie pracy ludzkich rąk, by móc zwiększyć produkcję dóbr. To zapoczątkowało nową fazę rozwoju fundamentalnie różniącą się od poprzedniej: praca przy maszynach wyglądała zgoła inaczej, niż praca na roli. Fala uprzemysławiania wytwórczości wszelakich produktów ruszyła z impetem i załaziła starą Europę i nowy, europeizowany - nie bez użycia siły - świat. A że wymagała wielu rąk coraz bardziej wyspecjalizowanych robotników zebranych w jednym miejscu w coraz liczniejszych fabrykach, a także ponieważ potrzebna była nie tylko siła mięśni, ale też siła rozumu, nastąpił skokowy rozwój nauki, a jedno i drugie zaczęło odciągać ludzi ze wsi i skupiać w miastach. Szybki rozwój przemysłu doprowadził do skokowo przyspieszonej urbanizacji.

Splot przemysłu z nauką wymusił powstanie struktur do sterowania zmechanizowaną wytwórczością, trzeba było się odpowiednio organizować i tym samym pojawiła się praca umysłowa. I o ile podział pracy między płciami na roli był oczywisty i wynikał z podziału na zadania prokreacyjne uwarunkowane w oczywisty sposób przez biologię, oraz z różnicy w sile fizycznej - u mężczyzn wzmacnianej przygotowaniami do wojen i wojennymi trudami - o tyle teraz kobiety mogły doszusować do lżejszych prac fizycznych i do prac umysłowych. O ile dopuszczono je do szkół i uniwersytetów, co swoje trwało, silniejsi z natury mężczyźni uważali się także za silniejszych umysłowo i nie bez użycia silnych argumentów dawali sobie odebrać to prowadzenie.

Kobieta opiewana przez romantyków jako ta "słaba płeć" - bo mniej więcej w tej epoce znajdujemy się na tym etapie naszej herstorii - zaczynała udowadniać, że siła umysłu nie zależy od siły mięśni i choć nadal to ona rodziła i zajmowała się dziećmi (jakby tu nie były potrzebne siły i to niemałe), a mężczyzna pracował, lub wojował, to w wolnym czasie, lub mając do pomocy służbę, mogła się uczyć i gdy tylko dopchała się do szkół, mogła zdobywać wykształcenie równie żarliwie, jak mężczyzna i z równym zapałem wykonywać wyuczony zawód.

Michał Hankus, kurator wystawy, zgadza się w rozmowie ze mną, że wystarczyło, żeby wtedy, gdy bezsprzecznie panował patriarchy, a role wedle podziału na płcie były ściśle określone, ojciec dostrzegł w

swojej córce człowieka a nie istotę przeznaczoną do wykonywania podrzędnej roli, i pozwolił jej wydobyć swój potencjał, rozwijać talent, jeśli jakiś posiadała, a już mamy wybitne kobiece osobowości, artystki, poetki, pisarki, myślicielki. I tak, to byli częściej ojcowie, bardziej wolnego ducha, niż bardziej spętane konwencjami matki.

Żyjąca kilka wieków wcześniej krnąbrna córka z zamożnego wielkopolskiego rodu znana jako Nawojka na wystawę sportretowana z wyobraźni przez Iwonę Siwek-Front - i dająca w naszych czasach swoje imię jednej z krakowskich ulic w studenckiej dzielnicy - uciekła z domu i zapisała się na Akademię Krakowską, by w męskim przebraniu studiować... dopóki jej nie zdemaskowano. Jej herstoria zaczyna się, wg przekazów, w roku 1414. Legenda mówi, że dzięki wstawiennictwu profesorów ujętych jej wynikami w nauce, uszła karze spalenia na stosie wyrokiem biskupim za tak niestychane zuchwalstwo. Karę ostatecznie zamieniono na dożywotni zakon, ale i tam zrobiła karierę, bo prowadziła szkołę nowicjatu, by w końcu zostać przeoryszą, musiała więc mieć silny, chciałoby się powiedzieć, "męski" charakter, choć przecież był to charakter bardzo silnej kobiety, silniejszej niż niejeden mężczyzna, któremu system nie rzucał kłód pod nogi i nie groził karą śmierci za garnięcie się do nauki. Z drugiej strony zdarzali się też światli mężczyźni - tu: profesorowie Nawojki - na długo przed Oświeceniem.

Wiek później niestety nie uniknęła śmierci na stosie 80-letnia Katarzyna Weiglowa (Wajglowa). 19 kwietnia 1539 roku krakowski Mały Rynek był świadkiem wykonania okrutnego wyroku na starej kobiecie. Weiglową, wdowę po kupcu i rajcu Malchiorze, uznano winną przejścia z wiary katolickiej na "judaizujący unitarianizm". Kilkakrotnie stawiała przed sądem. Za każdym razem nie wyrzekła się swoich przekonań. Musiała być bardzo silna, wiedząc co jej grozi. Mało to pocieszające, że była jedną z niewielu ofiar prześladowań religijnych w Polsce, w XVI w. wyjątkowo tolerancyjnej na tle innych europejskich krajów. Może miała szczęście i nim stos zajął się na dobre ogniem, udusił ją - jak to za opłatą praktykowano - litościwy kat?

Do wyroku przyłożyła rękę inna, niewątpliwie silna kobieta, z "bożej łaski królowa Polski", Włoszka Bona, przez trzy dekady mieszkanka Krakowa, idąc na polityczne ustępstwo wobec "obozu katolickiego". Po śmierci męża króla Zygmunta Starego i 8-letniej walce o tron z synem Zygmuntem Augustem, rok po powrocie do rodzinnego Bari otruta przez własnego dworzanina. Nie jest wśród bohaterki wystawy, bo albo Weiglowa, albo ona, ale chcę zauważyć, że to także bohaterka krakowskiej herstorii. Czy królowa wydając zgodę na tak bezlitosny wyrok, pomyślała, co wyrządza innej kobiecie, innemu człowiekowi? Jako księżęca córka, odebrała bardzo staranne wykształcenie, sprowadzała do Krakowa artystów i architektów włoskiego renesansu, była silna i władcza. Czy nie mogła postawić się "obozowi katolickiemu"? Można by pomyśleć: takie to były czasy, ale czy nie można pomyśleć inaczej: jestem królową, o czasach stanowią ja!? Wygląda na to, że niejednej kobiecie to się udawało, nawet jeśli nie były królowymi.

XIX wiek przypominał straszną śmierć Weiglowej dwoma obrazami, pokazanymi na wystawie: akwarelą Jana Matejki z 1859 roku i dziełem Władysława Rossowskiego z 1883 roku, gdzie stara Weiglowa jest przedstawiona jako młoda, półnaga, dorodna dziewczyna, co oczywiście działa na wyobraźnię, potęgując dramatyzm wydarzenia. W zestawieniu do tej śmierci wspomniana jest rycina Albrechta Dürera, "Die Hexe", ("Czarownica"), Weiglowa była prawie o połowę młodsza, gdy artysta swój obraz - daleko od Krakowa tworzył (lata 1500-2) - on sam miał lat ok. 30.

Ale - żyli jednocześnie, mogłaby być jego modelką. Obydwoje żyli w czasach, gdy ludzi, a zwłaszcza kobiety oskarżano o czary i było to jedno z najpoważniejszych oskarżeń a zarazem najtrudniejszych do obrony, bo jak wybronić się mało atrakcyjnymi faktami wobec fantastycznych nieuchwytnych fobii? W ludzkich wyobraźniach świat był pełen wiedźm, diabolic, czartów, upadłych aniołów, potężnych szatanów, złośliwych strzyg... Silniejsi projektowali swoje strachy na słabszych: słabszych mężczyzn i słabsze kobiety, dzieci i zwierzęta. A także na słabsze narody, na Żydów, którzy, jako naród rozproszony w diasporze wieki całe, nie miał swojego państwa i swoich wojsk, na Cyganów, naród wędrowny, z tych samych powodów bezbronnych.

Silniejsi chronili słabszych, ale też wykorzystywali i wyżywali się na słabszych... albo inaczej: silniejsi

chronią, ale też wykorzystują, wyzywają się na słabszych. Patriarchat, choć już nieco rozmiękczony, nadal rządzi światem. W jednych miejscach bezwzględniej, w innych względniej, ale do zmiany tego najstarszego globalnego systemu na inny, nowy, nieprzemocowy, wspólnej ourstory, naszej historii, nadal nam, ludziom in toto, daleko. Kombinacja siły, władzy, słabości umysłu i niskiej wrażliwości rodzi przemoc na każdym poziomie, władców wobec poddanych, mężów wobec żon, dorosłych wobec dzieci, wszystkich wobec zwierząt. Ludzkie dzieje od zarania oparte są na opresji silniejszych wobec słabszych.

Komentarzem do tych trzech artystycznych wizji jest obraz współczesnej krakowskiej artystki, Iwony Siwek-Front, zatytułowany "Klątwa". I jest to nie jakaś tam klątwa, ale, jak tłumaczy autorka, "klątwa sprawiedliwa", bo spada na tych, którzy na nią zasługują. Klątwa w swej mocy i wiedzy trafia tam, gdzie trzeba, żeby wyrównać rachunki. Królowa Bona wydała zgodę na wykonanie okrutnego wyroku wobec starej kobiety, ale dopadła ją wszechwiedząca klątwa, przegrana walka o władzę z synem oraz śmierć tam, gdzie - zapewne - najmniej się jej spodziewała, w jej rodzinnym mieście. Jednym słowem to ostatecznie siły wyższe były (są?) władne, by pomścić niesprawiedliwe traktowanie słabszych.

Klątwa w artystycznej wizji Iwony Siwek-Front to postać budząca słuszny strach: kobieta o czerwonych rękach i przerażających jarzących się oczach, ogniście rudych włosach, wyszczerzonych zębach, znacznie większa od ludzików gdzieś w jej tle, ekspresyjny portret uchwycony grubymi kreskami i silnymi kolorami ze stale pracującymi trybikami wokół głowy, ale... portret przełamany zielonym kwiatkiem na pierwszym planie, bo: jest nadzieja! Siła rażenia klątwy jest potworna i działa ponad czasem, rzucona niekiedy do siódmego pokolenia, dopadnie w końcu tego, kto na nią zasłużył/a, ale nie robi krzywdy niewinnym.

Spacer wystawą "Siłaczki" od obrazu do obrazu, od zdjęcia do zdjęcia, od popiersia do popiersia, od herstorii do herstorii przez wieki i wydarzenia, pokazuje, ile trzeba (było) siły i determinacji, żeby w niesprzyjających kobietom czasach, czyli praktycznie wszystkich czasach po dziś dzień, rywalizować z mężczyznami, którzy ustanowili swoje prawa w przekonaniu, że tak będzie raz na zawsze. Już sam tytuł wystawy mówi o siłowaniu się z silniejszymi.

Ale oprócz siły fizycznej jest też siła umysłu i tu linia podziału na silniejszych i słabsze rozmywa się. Linia demarkacyjna nie przebiega dokładnie tam, gdzie jest podział na płcie, a tam, gdzie są ci, którzy mają władzę i ci, którzy władzy nie mają. Ci pierwsi, najczęściej z natury silniejsi i agresywniejsi mężczyźni, choć od czasu do czasu do władzy dochodzili i dochodzą także kobiety - są nieliczni - i to oni mają w swoim władaniu tych drugich, licznych, zarówno kobiety jak i mężczyzn. Tak, patriarchat zniewolił nie tylko kobiety, ale i mężczyzn. I to w ilości nieprzebranej.

W XIX wieku industrializacja i urbanizacja doprowadziły do migracji chłopskich synów i córek do miast i tu już musieli sobie radzić sami bez wsparcia społeczności wiejskiej. Często ich los był pożałowania godny, mężczyźni wykonywali niskopłatne prace ponad ich siły, kobiety nierzadko zostawały samotnymi matkami, bo uwodzący ich kawalerowie z tzw. "lepszemu domów", szukający okazji do uwolnienia się od napięć libido, ani myśleli się żenić z "dziewkami niższego stanu". By wyżywić siebie i dzieci, kobiety te zarabiała najcięższymi pracami, do prostytutki włącznie. Ale zdarzały się i takie, których spotykał los zupełnie wyjątkowy.

Tak było z Teodorą Pytkówną, dziewczyną z podtarnowskich Konar: służąca z nieślubnym synkiem, wpadła w oko Stanisławowi Wyspiańskiemu, który wbrew drobnomieszczańskim ograniczeniom i na przekór własnej ciotce pojął za żonę energiczną "pannę z dzieckiem". I tym samym oboje przeszli do historii, a obrazy z ich dziećmi osiągają dziś najwyższe ceny na rynku sztuki. Teosia stała się nieśmiertelną modelką jednego z największych polskich artystów. I na odwrót, bez Teosi nie byłoby Wyspiańskiego, jakim się stał jako artysta - dzięki jej wsparciu i mimo wyniszczającej go choroby.

To ona dbała o jego spokój, o dom, o dzieci, których razem z jej usynowionym przez niego synem mieli czworo, a także o finanse rodziny. "Siłaczka" Teosia musiała niejedną cios udźwignąć, zwłaszcza po przedwczesnej śmierci męża-artysty i prawnej decyzji o odebraniu jej dzieci. Przeżyła dwie wojny światowe, doczekała dwóch Polsk, tej wolnej międzywojennej, która dawała jej prawo do głosowania, i tej

wolnej-niewolnej Ludowej, która takim chłopskim córkom, jak ona, dawała prawo do robienia karier zawodowych zgodnie z chęcią, talentem i pracowitością, przynajmniej w teorii. Kwestie pochodzenia mocno się zweryfikowały. Społeczeństwa zdemokratyzowały. Różnice zniwelowały. Ludzie zindywidualizowali.

Nie wygląda to aż tak, jak od linijki, ale wiek XXI w porównaniu z wiekiem XIX różni się pod wieloma względami, aż dziw, że stało się to tak szybko i tak dogłębnie. Przy czym o ile w XIX wieku fala industrializacji się rozpędzała, o tyle w XXI wieku wyhamowuje, ustępując 3. fali, tej, w której tkwimy już głęboko, fali informatycznej. Statystyki wskazują na niewątpliwy postęp w kwestii równouprawnienia płci, ale... ale do pełnej równości praw kobiet w porównaniu z prawami mężczyzn jest jeszcze sporo do zrobienia.

Niemniej, jeśli uświadomić sobie, że zaledwie dwa wieki temu po Krakowie spacerowały pierwsze pionierki uniezależniania się od władzy męskiej - w tych swoich krępujących gorsetach, długich po kostki sukniach i obowiązkowych nakryciach głowy, to aż strach, że mogłoby się to dziać wolniej. Wielka Wojna u początków XX wieku odwróciła nie tylko kartę historii, ale i herstorii. Wybuch wojny, a co za tym idzie, przemysł militarny, wymusił na ludziach inny podział ról, niż dotychczas, mężczyźni ruszyli walczyć i ginąć na wojnie, kobiety zaś szły za nimi na pola bitew, jako ratujące rannych sanitariuszki, albo do fabryk masowo produkować broń, a także, a jakże, jako kobiety świadczące usługi seksualne. Krępujące gorsety, długie włosy i suknie okazały się tak niepraktyczne, że ulice czasu międzywojnia wyglądały kompletnie inaczej, niż te sprzed wojny.

Po pierwszej wielkiej wojnie ruszyły fabryki produkujące to wszystko, czego potrzebowały społeczeństwa wycieńczone wojną. Na wystawie pojawiają się zdjęcia z hal fabrycznych pełnych robotników i robotnic, głównie robotnic, bo to tzw. lżejsze, choć monotonne, nużące prace: taśmowo produkuje się nie tylko artykuły pierwszej potrzeby, przetworzoną żywność, odzież, ale także wyroby tytoniowe, wódki, czekolady. Trwa era przemysłowa i szykuje się kolejna Wielka Wojna Światowa, która teraz dostaje już cyfrę: Druga.

Czy Trzecia Fala cywilizacji, era informatyczna, oznacza koniec dla przemocowego, przestarzałego patriarchy? Można się tego spodziewać, bo to, co ludzie sobie już wywalczyli, i to autorzy obu płci, zarówno światli mężczyźni, jak i światłe kobiety, trudno będzie odwrócić (byle się wystrzegać regresu podobnego temu w Iranie). Na razie trwają wojny wynikające ze zderzenia starej fali z nową falą, a ponieważ nikt nie wie, jak długo potrwać i jak się skończą, trudno przewidzieć, kiedy i co się wydarzy, odmieni i utrwali.

Wystawa usytuowana w historycznej kamienicy Hipolitów przedstawia na kilku kondygnacjach w wielu salach i salkach łącznie z odrestaurowanymi pomieszczeniami piwnicy portrety kobiet, ale także artefakty, przedmioty służące tak do ozdoby jak i codziennego użytku oraz suknie, kobiece części garderoby w ich różnorodności zmieniającej się jak w kalejdoskopie od czasów dawnych po czasy współczesne.

Z portretów - obrazów, grafik, fotografii - spoglądają twarze młodsze i starsze, ładniejsze i brzydsze, bardziej znane, mniej nieznane, oraz zupełnie nieznane, bez imion i nazwisk, kobiety, które przepadły w przeszłości wraz z ich herstoriami i oto śladami ich istnienia pozostały jedynie ich anonimowe wizerunki. Kim były, możemy się jedynie domyślać po ubiorze, fryzurze, atrybutach, tłach...

Francuska autorka wydanej niedawno książki "Kobieta. Opowieść o niewidzialności od prehistorii do dziś" Marylène Patou-Mathis pisze, że współczesność dopiero przywraca należne kobietom znaczenie w dotychczasowych dziejach. Opresyjny, oparty na męskiej sile system odbierał im nie tylko imiona, ale dezawuował znaczenie tego, co w swojej niestrudzonej pracowitości wytwarzały i co po nich zostawało, a jeśli posiadały jakąś zdobytą swoimi sposobami wiedzę, demonizował ją, stąd deprecjonująco-odstraszająca nazwa dla "kobiety wiedzącej" - wiedźma.

A przecież właśnie o wiedzę chodziło siostrze Konstancji i Filipinie Studzińskim, żyjącym w XIX wieku zakonnicom Zakonu Miłosierdzia, które, prowadząc aptekę, musiały się wykazać dyplomami w dziedzinie farmacji, żeby apteki nie przejął klasztor męski - i wykazały się! Jako pierwsze na świecie zdobyły

uniwersyteckie papiery studiując eksternistycznie!

W sumie chodzi o tak niewiele: równość wobec prawa, prawo do samostanowienia, równe wynagrodzenie za tę samą pracę i prawo do różnic przy równym statusie. Jedną z tych różnic jest, statystycznie rzecz biorąc, siła fizyczna: mężczyźni mają więcej krzepy, kobiety mniej. Ale nie to stanowi o sile umysłu, ducha, wyobraźni. Wystarczy uznać, że - różniąc się i dodając do siebie siły obu płci - uzupełniamy się, co daje całość, a jedynie okrojoną połówkę, jeśli jedną siłę fizyczną odejmiemy do drugiej.

W sumie i to nic nowego, w Chinach od starożytności wiadomo, że siły męska i żeńska, yin i yang, są uzupełniającymi się przeciwieństwami tworzącymi całość, doskonały krąg. Wystarczy tę koncepcję zgodnie ze współczesną wiedzą nieco zmodyfikować, czyli uznać, że na styku siły te się przenikają, więc się trochę w siebie wcinają, uznać, że granica jest płynna, podobnie zresztą jak płeć i orientacja seksualna są po obu końcach krzywej Gaussa płynne, przyznać tym faktom prawo do równego współistnienia i oto mamy system korzystny dla obu (choćby i nieco rozmytych) płci i lepszej przyszłości świata, obalający zhierarchizowany, mocno już przedawniony i skompromitowany patriarchat.

Nachodzące na siebie dwie fale, przemysłowa i informatyczna, to walki starego świata z nowym, co tak naprawdę się zmieni, jak będzie wyglądał świat za 100, 200 lat, trudno powiedzieć, ale jedno jest pewne, jeśli nie dojdzie do radykalnie pozytywnych zmian, jeśli nie uda się połączyć siły intelektu i mocy uczuć obu płci, to niech nas Bóg ma w swojej opiece.

*

Na koniec muszę się z tej "urodzonej feministki" wytłumaczyć. Otóż z końcem roku 1953 urodziłam się jako człowiek płci żeńskiej. I gdy tylko jako tako zaczęłam dochodzić do rozumu, czyli gdzieś na przelomie lat 60. i 70. zeszłego wieku, dowiedziałam się, że skoro urodziłam się dziewczynką i wyrastam na świadomą kobietę - a taki był mój ambitny plan - to z racji urodzenia jestem feministką, jako że nie ma równości płci, choć powinna być, a nie powinno być feminizmu, bo gdyby była równość płci, niepotrzebny byłby feminizm.

Gdzieś w połowie liceum dorwałam się do powieści "Medaliony" Simone de Beauvoir i... poszło!... Gdy w 1972 roku na polskim rynku ukazało się tłumaczenie jej "Drugiej płci" (feministycznego dzieła z 1949 roku), wiedziałam, że to jest moja "biblia". Z pozycji pierwszej płci wtórował jej filozof Jean-Paul Sartre, z którym tworzyła wolny, fascynujący, funkcjonujący na równych zasadach związek, jeden z najszlachetniejszych XX wieku. Tego mi trzeba było, współgrających z moimi potrzebami wzorców.

Na egzamin do krakowskiej PWST w 1972 roku przygotowałam m.in. monolog Elektry z "Much" Sartre'a. Na dostanie się do Szkoły nie wystarczyło (było wtedy 20 miejsc na 400 aspirujących), ale na start w życie jak najbardziej. Prowadziła mnie Beauvoir'owsko-Sartre'owska "duma z bycia wolnym... wolną...". Kilkoma zbiegami okoliczności ledwie 2 lata później znalazłam się w Szwajcarii, czyli na mitycznym Zachodzie, skąd z bezpośredniej bliskości mogłam obserwować rozwój drugiej fali feminizmu.

Nie odpowiadały mi kosztujące w ideologii feministyczno-wojownicze nurty, mniej czy bardziej sprowadzające "walkę o równe prawa" do przejęcia władzy w celu wprowadzenia opresyjnego systemu w męskim stylu "jeśli uciskać, to my, a nie nas", taki "patriarchat au rebours". Wsłuchiwałam się także w słabsze, ale bardziej wyważone głosy w stylu "Der dressierte Mann", 1971, Esther Vilar, z tezą, że "to kobiety kontrolują mężczyzn na swoją korzyść".

W Polsce "Tresowanego mężczyznę" wydano, w roku 2021, dokładnie pół wieku później, jako musztardę po obiedzie, już wręcz przyschniętą. Nic dziwnego, że przeszedł bez echa, podczas gdy w Niemczech wtedy, w latach 70., gdzie autorka mieszkała, rozwścieczone feministki atakowały ją do gróźb śmiercią włącznie, aż schroniła się w Szwajcarii. Gdzie ją poznałam, drobną, delikatną, subtelną, mądrą kobietę, lekarzkę z zawodu, myślicielkę z ducha, polemistkę z temperamentu (to ona jest autorką wystawianej także w Polsce, choć też lata później, jako monodram, "Amerykańskiej papieżycy" - wydanej 1982 na Zachodzie / 1995 w

Polsce). "Być intelektualistą to cenić inherentną wartość pluralizmu i wspierać prawo do posiadania przestrzeni krytycznej (takiej, w której można publicznie wyrażać sprzeciw", pisała w swoim dzienniku Susan Sontag. A moja nieżyjąca już sąsiadka, "stara" sybiraczka, zwykła mawiać: "Jak się nie dogadasz, to się nie dokłócisz".

Z tych różnych ścierających się ze sobą sił wypracowałam sobie własny pogląd sprowadzający się do prostego wniosku, że ani mężczyźni nie są z Marsa, ani kobiety z Wenus, jesteśmy Ziemiąkami i Ziemiąkami z jednej planety, wszystko, co widzimy wokół, jest dorobkiem wszystkich dotychczasowych pokoleń, tak kobiet-matek, jak i mężczyzn-ojców, a linia demarkacyjna nie biegnie dokładnie po linii rozdzielającej mężczyzn od kobiet, a po linii większej i mniejszej świadomości niezależnie jakiej płci. Mężczyźni z racji płci nie są wyłącznie przemocowi, kobiety z racji płci nie są ani lepsze, ani gorsze. Przykładów jest dość!

*

Słowo kobieta pojawiło się w XVI wieku. Etymolodzy proponują co najmniej 20 różnych wyjaśnień jego pochodzenia. Polski etymolog Aleksander Brückner wywodzi je od słowa kob, czyli chlew, koryto. Kobieta w pierwotnym znaczeniu, to ta, która służy przy korycie, zajmuje się chlewem. Wyraz miał pejoratywne znaczenie i uchodził za obelgę. W neutralnym znaczeniu słowa zaczęto używać dopiero pod koniec XVIII wieku. Najsłynniejszy cytat z „Drugiej płci” Simone de Beauvoir to: *„Nie rodzimy się kobietami – stajemy się nimi”*.